

Poezja na wiek dojrzały

SYLWETKA. Trzeba doceniać urodę życia. Nawet wtedy, gdy na imię jej starość – twierdzi ZOFIA KUCÓWNA

Była Dianą w „Fantazym”, Panną Młodą (a z czasem Gospodynią) w „Weselu”, Gertrudą w „Hamlecie”, Maszą w „Trzech siostrach”, Lady Makbet i przejmującą tytułową Fedrą. Stworzyła kilka prawdziwych kreacji w spektaklach Adama Hanuszkiewicza czy Erwina Axera. Dziesiątki spektakli Teatru Telewizji. Film, czasami serial... Przez ponad trzydzieści lat praca na rzecz Domu Aktora Weterana w Skolimowie, przez dwadzieścia lat praca pedagogiczna w warszawskiej PWST.

Zofia Kucówna, aktorka, o której sztuce pisano: „Postaci stwarzane przez nią na scenie określone są prawidłami dobrego smaku i gustu, wyważone wedle zasad prawdy psychologicznej, ich działania umotywowane są obyczajowo i społecznie, zgodnie z powszechnym doświadczeniem i życiowym prawdopodobieństwem, i – co najważniejsze – zgodnie z osobowością artystki”. Ma charakter, własne zdanie, jest silna, jak przystało na zodiakalnego Byka. Uwielbia poezję, czego dowodem był m.in. jej udział w Krakowskim Salonie Poezji, gdzie czytała „Zajazd” z „Pana Tadeusza”.

Urodzona w Warszawie młodość spędziła w Krakowie, gdzie zdarzyło się jej niemal wszystko po raz pierwszy, jak wspominała w naszej rozmowie. – *Pierwszy teatr, który zorganizowałam dla dzieci, pierwsze oślnienie poezją, pierwsze role w Teatrze Młodego Widza – dzisiejszej „Bagateli”, gdzie spędziłam moje pierwsze dwa sezony. Uważam, że Kraków, lata dzieciństwa i młodości, które przyszło mi przeżyć w tym mieście, to był ogromny prezent od Pana Boga dla mnie. Mam wielki sentyment do tego miasta, ale odkał nie ma już moich rodziców na tym świecie, przestał istnieć dom rodzinny, to coraz rzadziej tu przyjeżdżam.*

Trudno uwierzyć, że ta znakomicie wyglądająca dama debiutowała w 1955 roku, że w maju będzie obchodzić imponującą rocznicę urodzin. A przecież jej życie nie było usłane tylko różami: rozstania, rozwody, walka, na szczęście zwycięska, z ciężką chorobą. A mimo to zazwyczaj jest pełna energii, uśmiechnięta. Choć bywa ironiczna, czasami ironicznie złośliwa – mówią znajomi. Jak wspominał kiedyś Adam Hanuszkiewicz, aktor, reżyser, dyrektor teatrów, w których grała wiele, były mąż aktorki: „Zośka jest piekielnie inteligentna. Zawsze podziwiałem jej lotność umysłu, imponowała mi nią”.

Kraków, jakże ważne miejsce w życiu artystki: ulica Komorowskiego, gdzie mieszkała z rodzicami, początki w teatrze Iwo Galla, debiut w „Balladach i romansach”. Jej talent już w progu kariery zauważył recenzent „Echa Krakowa”, który pisał: „Ma dar wypełniania przestrzeni scenicznej większej niż zasięg jej gestów i nośność słów”. A tym recenzentem był Sławomir Mrożek. Po latach „odwzajemniła” mu dobre słowa dobrą rolą w jego „Wdowach” wyreżyserowanych przez Erwina Axera w warszawskim Teatrze Współczesnym.

A przecież, zanim była szkoła i teatr, było rodzinne Komorowo



FOT. DANIELA MAZUR

Każdy musi wymyślić sobie robotę na emeryturze. Żeby nie zgorzknąć, nie zanudzać innych

– mówi Zofia Kucówna

i pierwsze kontakty z poezją, z urodą języka. To tam, siedząc skulona na sofie z brodą podpartą na dłoniach, czytała ulubione utwory. – *Komorowo to były wczesne lata dzieciństwa, bieganie bospo po łąkach już wiosną, gdy wszystko budziło się do życia, siadanie na sofie – owszem, siadywałam w takiej pozycji i czytałam książki. Natomiast mój prawdziwy zachwyt poezją wiąże się z latami młodości, kiedy byłam uczennicą gimnazjum żeńskiego im. Królowej Wandy, mieszczącego się przy słynnych Oleandrach w Krakowie. Wszystko zaczęło się od „Beniuwskiego” Słowackiego. Byłam chora na gripę, nudziłam się okrutnie i sięgnęłam po książkę z półki ojca. Pierwszą, jaką wzięłam do ręki, był właśnie „Beniuwski”. Oczywiście, nic z tego wspaniałego poematu wówczas nie rozumiałam, ale zachwycił mnie. W tymże gimnazjum języka polskiego uczyła znakomita profesorka, która rozkochała nas w „Panu Tadeuszu”. Kazała nam go czytać, a później opowiadać własnymi słowami.*

Właśnie swej polonistce i rozpisanej przez nią konkursowi recytatorskiemu zawdzięcza „złapanie” bakcyli aktorstwa, co z wielkim śmiechem wspomina w jednym z wywiadów: „Mówiłam monolog Kordiana na szczycie Mont Blanc, a ubrana byłam w fartuch amerykańskiej salowej. Granatowy, zgrabnie uszyty z dzinsu, którego u nas jeszcze nie znano. Odkryłam go w paczce UNRY, którą tata przyniósł z pracy. Mama powiedziała: „Doszyjemy biały kołnierzyk i będzie ładnie”. Po występie moja polonistka zarządziła: „W pla-

stycie będziesz przypuszczalnie przeciętna, a w aktorstwie możesz być nieprzeciętna, idź, spróbuj”. Pani Romankówna była bardzo odważną osobą, ja nie umiałabym tak zdecydowanie wejść w życie młodej dziewczyny, jak ona weszła w moje. Zapytałam ją po latach, gdy odwiedziłam ją na Groblach w Krakowie (ona kazała mi wtedy mówić do siebie na ty, za nic nie umiałam do niej powiedzieć „Mieciu”, kluczyłam, by ominąć obie formy) – czy nie miała wątpliwości. „Bałam się, ale miałam sprzymierzeńca”. Był nim jej brat, aktor. Skontaktowała nas. Powiedział mi o wierszu rzeczy, które są dla mnie ważne do dzisiaj. Że jeżeli wyobraźnia nie rodzi słowa, to słowo jest martwe. „Jaka góra jest dla ciebie najbliższa?” – zapytał. Mówię: „Nosal, zjeżdżałam z niej na nartach”. „To wyobraź sobie, że stoisz na szczycie Nosała, masz mgłę nad głową i mgłę pod stopami. Czujesz się szczęśliwa i przerażona. Teraz spójrz w przepaść, co widzisz?”. Stałam pod białym kaflowym piecem, a czułam się jak na szczycie Mont Blanc. Mówiłam: „Zamknięty jestem w kulę kryształową”...

Lubelska scena, potem teatry warszawskie: Ateneum, Powszechny i Narodowy wraz z Teatrem Małym – tymi ostatnimi kierował przez lata Adam Hanuszkiewicz – były najpiękniejszą przygodą życia pani Zofii. Tak nazwała swoje 55-letnie spotkanie z teatrem.

Aktorka nie poprzestała na graniu. Wiele miejsca w jej sercu zajmowała szkoła teatralna, w której uczyła dwadzieścia lat. Spotkania z młodzieżą dodawały jej siłę, były zastrzykiem młodej energii. – *Moją rodziną i najbliższymi mi ludźmi są moi uczniowie, to z nimi tworzę wspólnotę. Mogą do mnie wpaść o każdej porze dnia i nocy, najwyżej zastaną mnie w szlafroku – śmieje się pani Zofia. – Mogą, bo swojego czasu sama korzystałam z tego rodzaju duchowej pomocy. Sama im gotuję, zawsze za kredensem czeka bateria czerwonego wina. Później gadamy, gadamy, gadamy. Pewnego dnia powiedziały mi o swoim wieku. Wstrząsnęci faktem, że skończyłam 70 lat – liczba dla nich niewyobrażalna – nie pytając mnie o zdanie, urządzili mi w Radziejowicach uroczystość równą jubileuszowi. O! I to mi się bardzo podobalo. Mało! Wiem, że pamiętać im to będę do końca życia! – wyznała przed kilkoma laty artystka.*

Dla aktorki zawsze najważniejsza była publiczność. Przytoczmy fragment z jej książki „Zapach szminki”: „Publiczność okazała się moim najwierniejszym i najbardziej lojalnym przyjacielem. Mało tego, dzięki tym spotkaniom rozumiałam, jaką ogromną wartością była w całym moim zawodowym życiu. Bez niej byłabym kimś innym. To był mój prawdziwy życiowy partner. Niezawodny. Bo jeśli mam przekonanie, że nie zmarnowałam swego życia i mam prawo uznać je za może nie do końca spełnione, ale przynajmniej udane, to przekonanie to czerpię przede wszystkim z sympatii widzów. Energia z widowni w dziwny sposób mnie otulała” dawała poczucie bezpieczeństwa.

O Zofii Kucównie można opowiadać godzinami, pisać opasłe tomy: o jej książkach, m.in. „Zatrzymać czas”, o jej pracy w ZASP-ie i morderczej harówce na rzecz Skolimowa. O filmach, serialach, w których aktualnie można aktorkę oglądać: „Dom nad rozlewiskiem”, „Egzamin z życia”, „Dom baśni”. Do niedawna grała też w „Niebezpiecznych związkach” w Teatrze Komedii.

Dzisiejszy teatr nie zawsze jej odpowiada, o czym nie tak dawno opowiadała: „Teatr w ten zmienny czas stał się teatrem psychicznego i werbalnego ekshibicjonizmu. Stał się dziurką od klucza do drzwi sąsiada. Tak przypuszczalnie musiało się stać po różnych społecznych, politycznych i obyczajowych przeobrażeniach. Nie przepadam za tym. Oczekuję od sztuki metafory, przenośni, również w różnych formach poetyckości. Krępuje mnie i zawstydza naturalistyczne babrzenie się w klinicznych anomaliach współczesnej dramaturgii. Jestem z innej epoki”.

Otrzymała w życiu wiele nagród, odcisnęła swą dłoń w Alei Gwiazd w Międzyzdrojach, przyjmowała honory, zaszczyty... Jednak nie to jest dla aktorki najważniejsze. A co jest ważne? „Nie jestem osobą sentymentalną, egzaltowaną, wiecznie jestem z siebie niezadowolona. Chociaż... na skutek pracy nad sobą osiągnęłam akceptację własnej osoby. Tak, żyję teraz w harmonii, ba, nawet lubię siebie, ale jako introwertyczna ekstrawertyczka, trudny jest taki człowiek – śmieje się. – Ciągle od siebie i od wszystkich żądam maksimum wysiłku. Czasami się zawodzę, i to na sobie. Wściekła jestem, że mój młodzieńczy duch nie podąża za ciałem i nie wyciągam z tego właściwych wniosków”. Te słowa, które wypowiedziała przed pięcioma laty, nadal podtrzymuje. I dodaje w naszej rozmowie – *Każdy musi wymyślić sobie robotę na emeryturze. Żeby nie zgorzknąć, nie zanudzać innych. Ja ją wymyśliłam w ramach własnego zawodu: przygotowuję programy poetyckie o wielkich poetkach i jeżdżę z nimi po całej Polsce. W maju, w moje imieniny, będę w Krakowskim Salonie Poezji czytała wiersze Zofii Hartwig, która kończy 90 lat. Oczywiście, przyjadę wcześniej, żeby odwiedzić groby bliskich, wziąć udział w mszy za ich dusze. Praca jest jednym z najlepszych sposobów na zachowanie dobrej fizycznej i psychicznej kondycji. I spotkania z ludźmi młodymi – zawsze ożywcze. Regularnie odwiedzają mnie niektórzy moi studenci, pomagają mi, jeśli trzeba mnie np. gdzieś zawieźć. Wruszające są te nasze spotkania. W najbliższym czasie planuję dwie książki: w tym roku chcę skończyć moje podsumowanie życia w teatrze, a w przyszłym roku chcę wydać książkę o Skolimowie. Czytelnikom na emeryturze mogę odpowiedzieć jedno: trzeba starać się za wszelką cenę cieszyć życiem, rozmową z przyjaciółmi, pracą, jeśli jest, ale nie za wszelką cenę, i doceniać urodę życia. Nawet wtedy, gdy na imię jej starość.*

JOLANTA CIOSEK